

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr 2223



O RADZIEJOWICACH I ICH GOŚCIACH NIEKTÓRYCH



ROYALTY OF THE UNITED STATES OF AMERICA



EDWARD KRASIŃSKI

O RADZIEJOWICACH I ICH GOŚCIACH NIEKTÓRYCH

(ZE WSPOMNIENI O SIENKIEWICZU)



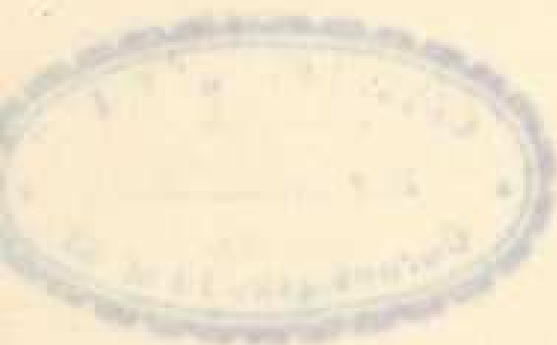
WARSZAWA 1934

SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
2223

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. ~~1639~~ 2223

Łra
Okad



Prawie od chwili, kiedy otworzyłem oczy, kiedy pierwsze zjawiska poczęły zastanawiać dziecko i wzbudzać jego pojętność i pojęcia, — zawdzięczałem trwalsze wrażenia (poza doznawaniami od domowego otoczenia lub od przyrody, która na mnie zawsze oddziaływała wprost cudotwórczo) tym, których Matka nasza ściągała z Warszawy, z Krakowa do Radziejowic, na odpoczynek po ciężkiej pracy społecznej, literackiej, naukowej, dziennikarskiej; zapraszała ich ona także, aby zaspokoić własne potrzeby umysłowe i towarzyskie, nasycić swe pragnienia świeżymi prądami życia i kultury, poznawać rozwój postępowy myśli ludzkiej, myśli polskiej.

Ze starodawnego pochodząca rodu Śreniawitów, wychowana w Krakowie, owym dawnym o ateńskiej kulturze, była wybredna w wyborze; tam naówczas, między 1850 a 1869 r. wielki świat, ludzie nauki, pisarze, duchowieństwo, literaci, dziennikarze, artyści byli zarazem ludźmi wytwornych obyczajów, łacińskiej ogłady, co ułatwiało i uprzyjemniało stosunki towarzyskie. Bez wykwintu myśli i zachowania się, niema rozmowy, niema zażyłości, łączności z ludźmi, ani uszlachetnienia obyczajów. W otoczeniu, w codziennem prawie obcowaniu z osobami wyższej miary,

urabiały się dusza i serce Matki, której kierownikiem duchowym był ks. Golian, a osobami, z którymi przestawała, między innymi: Maurycy Mann, Paweł Popiel, Lucjan Siemieński, Antoni Helcel, Józef Łepkowski, Władysław Łuszczkiewicz, Jan i Konstancja Stadniccy, Juljusz Kossak, Józef Kremer, Henryk i Kazimierz Wodziccy, Biskup Łętowski, Leon i Taida z Małachowskich Rzewuscy, Stanisław Koźmian, Stanisław Tarnowski, Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Ludwik Michałowski, Stanisław Tomkowicz, znakomita poetka Teresa z Potockich Wodzicka, Łempiccy, Moczyńscy i tyle innych znacznych osobistości i oświeconych rodzin. Wszyscy oni stanowili towarzystwo domu Stadniczych, przy ulicy Grodzkiej 40 w Krakowie.

Matka, poślubiwszy Ojca z gorącej miłości, dała mu i nam, dzieciom, szczęście, przelewając w nas niezmierną żywotność i wnosząc zarazem w dom Radziejowski starą Krakowa kulturę. Matka kochała ludzi, ludzkość, życie, wszelkie jego objawy, moce i słabości; a będąc zdolną, jak wszyscy Stadniccy, zdrową, wesołą, obdarzoną wdziękiem kobiecości, nic dziwnego, że z takimi warunkami i usposobieniem szukała ludzi; oni zaś ciągnęli do niej, jako do istoty gorącego serca, wyczuwającej duszy każdej cierpienia i radości, umiejącej wstawić się zawsze w cudze położenie, wczuć się w jestestwo. Posiadała ona wielki dar codziennego powiększania życia, rozszerzania pogody, miłości naokół siebie, wnikania pewną drogą domyślności kobiecej do sumień; umiejętność wygrywania najlepszych strun oto-

czenia, oświecania dróg szlachetnych uczuciom i czynom własnym swym idealizmem.

Późniejszych dopiero lat ciężka choroba Ojca zmieniła poniekąd Matkę, zmuszając ją do głębszego zastanowienia się nad życiem, jednak bez odjęcia jej pogody, będącej zawsze podstawą jej natury, pogody, która dopiero wówczas dosięgła szczytów chrześcijańskiego spokoju i równowagi, pokrywających ból, w głębinach żyjący; istniejące u niej zawsze gorące uczucie katolickie spotężniało, a światowe życie, które lubiła i prowadzić musiała ze względu na swe stanowisko i na dorastające dzieci, objawiło się u niej w wielkiem pogłębieniu myśli, w trafności sądów, w wyrozumiałości, w potrzebie ofiary. Pozostając tedy zawsze żądną ludzi, brała już jednak wszystkie sprawy *sub specie aeternitatis*; oderwana duchowo od świata, stała się dla nas Matka prawdziwą ostoją miłości, sprawiedliwości, mądrości, noszącą już w sobie — jakby w ostatniem macierzyństwie — wieczne wartości cnót, uświęconych cierpieniem i przeżytemi latami.

Wychowanie młodzieży w owej epoce w wielu naszych rodzinach, szczególnie w zaborze rosyjskim, pozostawiało wiele do życzenia; nie będę się tu rozwodził nad wszystkimi tego przyczynami, które znałem dobrze i nad którymi serdecznie bolałem. Powiem tylko, że odbijało się ono na wielu młodych ludziach mego środowiska wyraźnie ujemnie, na młodzieńcach, obdarzonych przecież zdrowiem fizycznym, zdolnościami, nierzadko talentem, szlachetnych uczuciami,

ale słabych charakterem. Działo się to przez niewyrobienie woli, przez brak ambicji, a zarazem obfitość próżności; przez szalone, żywiołowe prawie pożądanie zabaw, używania, przez zbyt wielką łatwość środków materialnych, z braku odporności przeciw ponętnym pokusom, z braku określonej odpowiedzialności w obowiązku i w pracy. Wielu z takich młodzieńców, ugrzązłszy w rozkoszach łatwiejszego bytu, startych zostało na miazgę przy pierwszych trudnościach życiowych, jako że niedostatecznie byli uzbrojeni w wiarę, w wolę, w głębokie poczucie służby względem ziemi, co ich zrodziła, żywiła i obdarzała. Bujność temperamentu kazała im żyć bardziej ciałem, aniżeli duchem, rozsadzała poprostu ramy zanadto pobłażliwego wychowania rodzinnego, które za mało było wymagające; polegano na zacnej krwi i na dobrej naturze swych dzieci, gdy w istocie natury takie ocalały wprawdzie niejednokrotnie od zupełnego wykołajenia, przecież w ogólnym dorobku twórczym stanowiły one wartości ujemne. Były to usposobienia wojackie, do żołnierki przeważnie stworzone, gdzie, ujęte w karby, zostałyby okielznane i ustalone. Ambitniejsza młodzież dusiła się wówczas, gdyż kariery polityczne, dyplomatyczne, wojskowe były dla niej zamknięte.

Matka nie tylko żywym słowem, uczyła nas i przykładem żywym, pokazując nam ludzi zasługi we własnych osobach, prawdziwie dotykalnych. Stąd abstrakcja pojęcia człowieka, dla społeczeństwa użytecznego, przedniego lub też wielkiego, podawana nam tak przystępnie, przemieniała się



Helena ze Stadnickich Józefowa Krasieńska (1844—1927).

w rzeczywistość, w zrozumiałe objawienie: zamiast moralów, pedagogji, działała ona faktem materialnym, postawionym nam przed młode oczy pogładowo.

Za młodych lat Rodziców zalewała Radziejowice fala ludzi światowych, bujnych, żądnych rozrywek, łaknących życia towarzyskiego; były huczne zabawy, polowania, tańce, widowiska teatralne na scence, umieszczonej ongi przez mego pradziada Józefa na poddaszu pałacu, urządzonej i malowanej przez sławnego artystę, Jakóba Sokołowskiego. Później zjeżdżali, poza innymi gośćmi, przedstawiciele literatury, sztuki i owej prasy warszawskiej wyborowej, duchem obywatelskim przepelnionej. Zaslugą jej było, że walczyła dzielnie z cenzurą ku odrodzeniu kraju na wszelkich polach; różnych przekonań i odcieni, używając krytyki rzeczowej, uwidoczniała bóle i bolączki socjalne, zachęcała do organizacji, ofiarności i pracy; nigdy nie judziła jednej klasy na drugą, nie narzucała haseł demagogicznych, ani stosowała oszczerstw czy napaści. Była uczciwa, narodowa, popierająca wszelki objaw dobra i pobudzająca do inicjatywy. Przyjeżdżali między innymi: Józef Kenig, Edward Leo, Antoni Donimirski, Aleksander Rembowski, ks. Zygmunt Chełmicki, Edward Lubowski, Lucjan Wrotnowski z żoną, Mścisław Godlewski, Józef Chełmoński (z leżącej obok Rodziejowic Kukłówki), Jan Komierowski, używający pseudonimu Wacław Pomian, Włodzimierz Zagórski, serdeczny poeta Wiktor Gomulicki, K. M. Górski (z sąsiedniej Woli Pękoszewskiej), Feliks Jasieński (Mangha), który nam grał

cudnie na fortepianie, Stanisław Zaborowski i wielu innych, — wreszcie Sienkiewicz, zrazu nieśmiało, potem coraz częściej przybywający.

Żywo pamiętam pierwsze jego z gośćmi odwiedziny. Matka kazała się nam, starszym dzieciom, odświętnie poubierać. Czekaliśmy z rodzicami i z całą służbą przed gankiem pałacu Radziejowickiego z upragnieniem tego, którego portret w drzeworycie widywaliśmy na pierwszym książkowym wydaniu *Ogniem i Mieczem*, (czytywanem nam codziennie po kawałku przez wychowawczynię naszą, drogą p. Marję Warnkową). Z oczami wlepionymi w stronę zajazdu od lewego rogu pałacu, trwaliśmy w milczeniu jak skamieniali, tylko głośnie serc bicie zdradzało niepokój wewnętrzny. Raz po raz Ojciec wysyła na zwiady chłopca kredeńskiego; słyhać, nie słyhać — widać, nie widać... Jedzie ktoś szosą — pewnie pomyłka — a nuż?... to fura chłopka. Rozpoznajemy jednak jakiś grubszy turkot, przecież już południe, powinni być na miejscu... Dudnienie powozu, przybiega chłopiec: — „Jadą, jadą!...” Z za węgła wyjeżdża rzeczywiście czterokonny brek i powozy. Z pierwszego wysiadają: Rembowski, Leo, Zaleski, — наконец niski, młodszy człowiek w długim, jasnym palcie, o ślicznej głowie i oczach, z bródką jak kruk czarną, uśmiechnięty wesoło. — „Nareszcie!” — krzyczy Ojciec. — „Przywieźliśmy go wam” — głosi Wrotnowski, jowialny, z monoklem w oku. Matka zagarnia nas, dzieci, ramionami i posuwając nas, jakby znieczulonych od nadmiaru szczęścia, ku nowoprzy-

byłemu, mówi radośnie: — „Patrzcie, witajcie — oto ten, któregoście czytali!“ Sienkiewicz rozgląda się zadowolony, podając nam dłoń.

Takie było to pierwsze spotkanie z człowiekiem, który tak zaważył na mojem pokoleniu i podnosił na duchu cały naród. Z tego początku rozwinał się następnie cały splot najserdeczniejszych i długotrwałych stosunków między nami. Gdziekolwiek znajdowała się Matka czy Rodzice, zawsze nas odwiedzał; przybywał na pogawędki, herbatki, śniadania, obiady. Gdy się dłużej nie widywaliśmy, pisywał dużo, miłe, często dowcipne listy (ob. list do Matki z dn. 2 maja 1890 r.), albo wywnętrzał się ze swych smutków i przykrości, lgnąc szczególnie do Matki, pociągany jej wielką dobrocią, łagodnością, umiarem, posiadaną w najwyższym stopniu ową umiejętnością polskiej pani usposabiania serdecznie każdego z gości; umiała bowiem zgadywać i oświeślać ich ze stron najlepszych, wyczuwać właściwe każdemu przymioty, talenty, charaktery. Przez takie odgadywanie umysłów i serc, panowała ona niepostrzeżenie nad zebranymi, wywołując rozmowę i dyskusję, ożywiając ją gdzieś jakiegoś słówkiem — a była odcytana i bystra, — sama pozostając zawsze w cieniu. Nie tak, jak widziałem w wielu wypadkach, że panie domu, niepomne swego właściwego zadania, wypadając z dobrego stylu, chciały być przede wszystkim ośrodkiem hołdów, żadne gloryfikacji i adoracji; gdy same głośnie, egotyczne, męczące, zasypujące pytaniami, przechwalały się encyklopedycznymi wiadomościami, zabi-

jając na śmierć ogólną rozmowę; grzech główny stanowiła tu próżność, nakazująca pokazywanie się w roli kobiety wyższej, kiedy właśnie brakowało im do tego uprawnienia w postaci prawdy, dobroci i naturalności. Już w starożytności były znane — jakże one zameęczały Orestesa!...

W ślicznym parku Radziejowickim urządziła Matka pod cieniem starych lip kręgielnię, i tam zazwyczaj w sobotę, po przyjeździe gości, zaczynało się od kręgli. Niektórzy jeździli łódką po stawie, szli na spacer, lub też do urządzonych na rzece kąpieli. Obnoszono chłodzące napoje, największy odbyt miało kwaśne mleko z chlebem razowym. Wszyscy rozbawieni, tryskający dowcipem, bawili się jak dzieciaki. Wieczorem obiad, przemówienia, dyskusje, scysje, a dzieci śledziły z napiętą uwagą to życie i gwar ludzi. W niedzielę msza święta w ślicznym kościółku Radziejowickim na górze, z mądrymi kazaniami ks. Aleksandra Łagodzińskiego. Potem pojawiała się niespodzianka: gazetka p. t. *K u r j e r R a d z i e j o w i c k i*, wydawana i odbijana na hektografie przez literatów. Po śniadaniu wycieczka do lasów. Czasami Sienkiewicz z ks. Chęłmickim, Rembowski, Stanisławem Zaborowskim jeździli z osobna na rogacze. Po powrocie późne obiady na balkonie pałacowym, z widokiem na stary Radziejowicki szesnastowieczny zamek, znany z opisów *La-boureur'a* i pani Guébriant, i na wielkie lustro stawu, okolonego sitowiem, olszynami, widnokręgiem lasu Borki, oblanego potokami księżycowego, uspokajającego, seledynowego światła.

Żywo stają mi w pamięci i w oczach sylwety niektórych gości.

E d w a r d L e o, prawnik z zawodu, człowiek dużego wykształcenia i wykwintnej umysłowości, szerszego widnokreśgu myślowego, znawca i bywalec zachodu — pisał i redagował świetnie kilka z rzędu pism codziennych. Obdarzony znakomitym, europejskim dowcipem, wytwornych form światowych, causeur wyższej miary. Towarzystwo jego zaliczałem do najmiłszych w życiu; było ono zresztą poszukiwane w najbardziej wybrednych środowiskach intelektualnych.

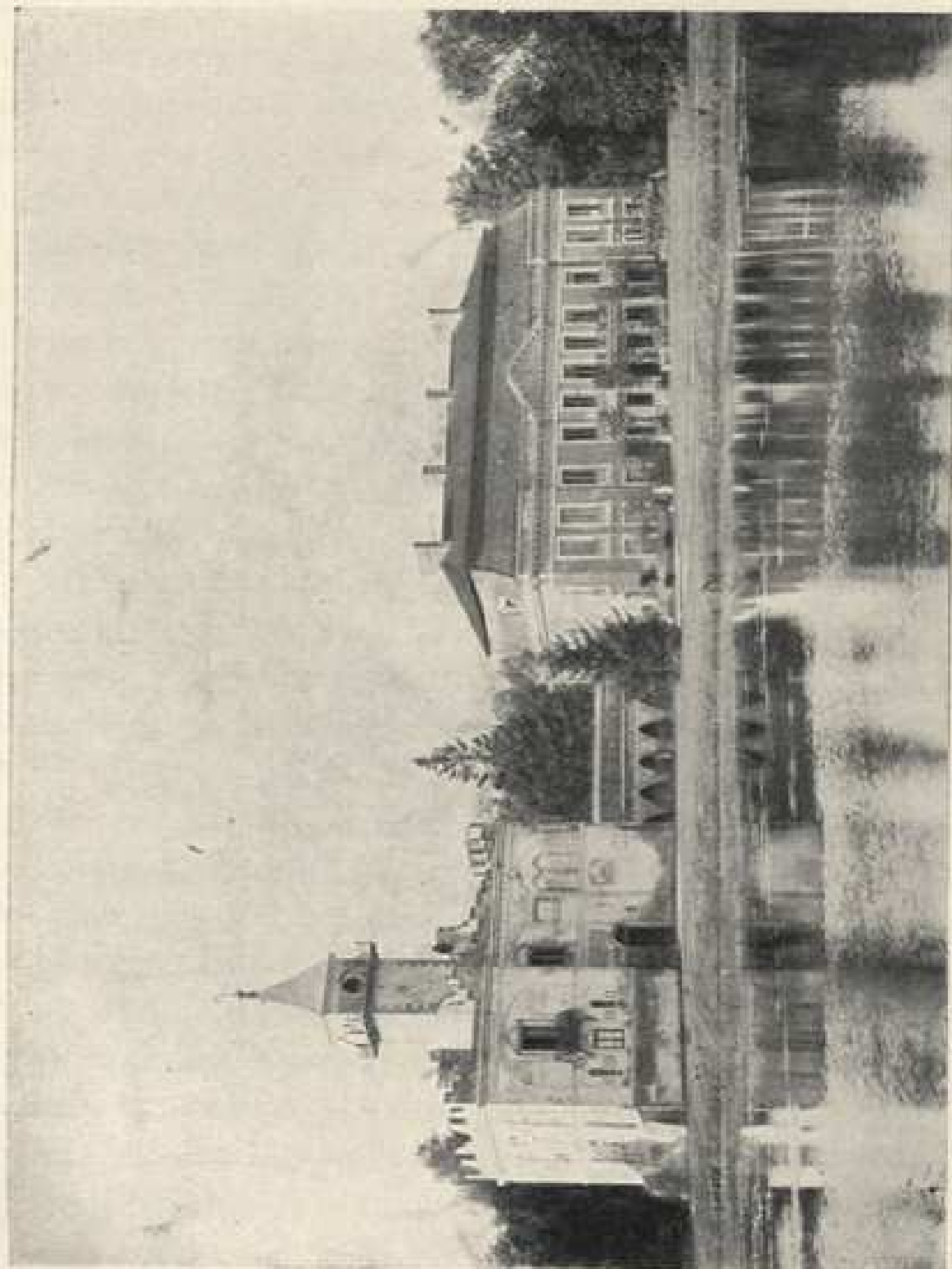
W odmiennym zupełnie rodzaju był A l e k s a n d e r R e m b o w s k i. W trudnych warunkach kształtowała się jego młodość; wychował się i wykształcił sam, dzięki swej woli i gorącemu pragnieniu wiedzy. Badając sumiennie i sprawiedliwie dzieje nasze, poznał z nich nasze wady, błędy i zalety i stał się krytykiem głębokim — powagą w swych historycznych pracach. Przeciwnik szkoły krakowskiej i Bo-brzyńskiego, staczał on i przed nami swe o poglądy boje namiętne, w kontrowersjach, w monologach; wtedy zdania, słowa, określenia wylatywały z niego, jak z procy. Człowiek żywiołowego temperamentu, gryzącego dowcipu; typ jędrnego, zaczepnego szlachcica, o którym śpiewała współczesna kolenda (układu Józefa Weyssenhoffa i K. M. Górskiego): „Nasz Rembowski, moczymorda, i do szklanki i do korda...” Wielki ongi pojedynekowicz i bibosz, sypał każdemu prawdę prosto w twarz, często z dowcipem, z humorem,

częściej rubasznie, nierzadko ze złością i z gwałtownością, przekraczając granice miłości bliźniego i form towarzyskich. Człowiek niepohamowanego słowa, a dobrego i szlachetnego serca. Sienkiewicz nieraz go zaperzonego mitygował, przezywał dzikiem pojedynkiem, albowiem Rembowski, w chwilach pasji, oczami obracał, jakby się one na osiach kręciły, i pokazywał białe zęby, niczem kły. Lubił i rozumiał młodzież, lecz ją dyskusjami, zaczepkami słownemi, ironją dźgał, kłuł, ekscytował, budził, utrzymując ją stale w napięciu myślowem i w czujności narodowej; niecierpiał w tych sprawach obojętności, wygodnictwa, niedołęstwa. Jeśli, nie daj Boże, dopatrzył się w nas jakiegokolwiek braku znajomości dziejów ojczystych, katował nas swem ciętym słowem nieustannie. Gdym się kiedyś w jakimś określeniu historycznem grubo pomylił, Rembowski zwracał się do mnie już do końca wieczoru pogardliwym mianem „delfina”. Nielitościwy bywał dla wszelkiej mieroty, dla ludzi przeceniających swą wartość. Biczem był dla różnych radców, nadradców, dla doktrynerów. Sam bujnym będąc szlachcicem, dopiekał komilitonom, aby nie postpowali klejnotu; wołał, aby właśnie świadczyli o wyższości swego stanu najpewniejszym jego orężem, to jest tężyzną w działaniu narodowem. Kiedy raz pewien szlachcic skarżył się przed nim żałośnie, jak baba, na istnienie marjawitów, fuknął Rembowski: „Szlachta do cna sparszywiała! Za dawnych czasów byłaby ona samorzutnie rozniosła kozłowitów na karabelach, niszcząc herezję w zarodku!” Każdy wo-

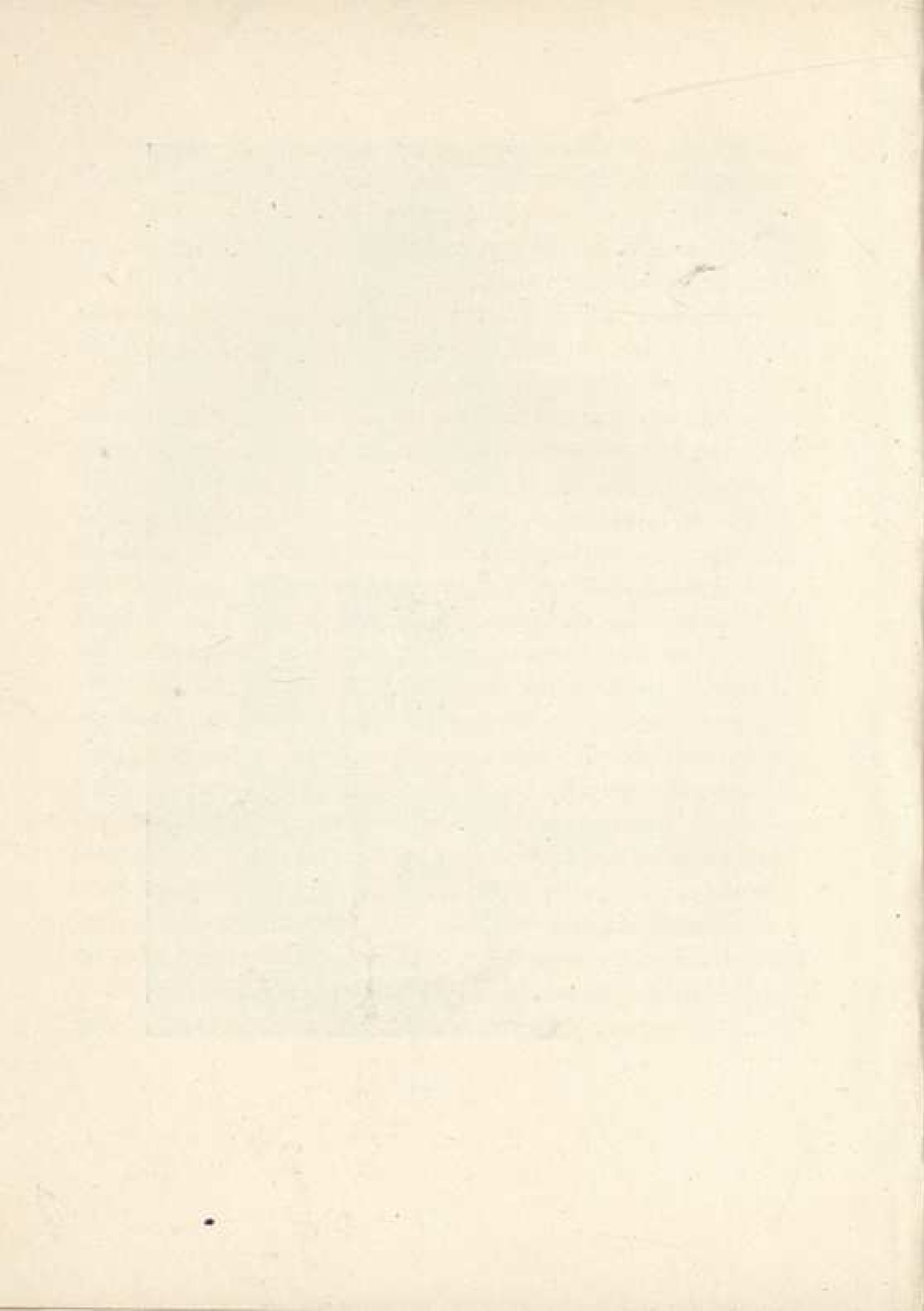
góle, przebywając w jego towarzystwie — że atakował, wydrwiwał, znęcał się — musiał być stale pod bronią: nigdy się Rembowski niczem nie stropił, odbijał ze swadą natarcia, jak piłki, mówił otwarcie, co czuł, — niekiedy boleśnie. Przeróżne z nim pamiętam zdarzenia. U prezesa Górskiego schodzili się co wieczór radcowie Tow. Kredytowego Ziemskiego na herbatkę i na plotki; zastał kiedyś Rembowski to grono, naradzające się mozolnie nad założeniem przytułku dla zniedołężniałych starców. Tego już było mu za dużo, żółć się w nim poruszyła i zagrzemiał: „Ale panowie, pocóż daleko szukać? Przecież jest już na ten cel Towarzystwo Kredytowe!...” W tym samym domu, przy gerylaszu, bywał poprostu straszny: rwał karty, bił w stół; a kiedy mu raz partner, stary Aleksander Kłobukowski, wyszedł w piki, zamiast w karo, i gdy dostali obydwaj szlema zamiast go dać przeciwnikom, Rembowski omal że radcy nie zabił, wyrzucając mu z pasją: „Co też radca tak wodzisz dłonią po łysinie i po niej się drapiesz, dalibóg nic z niej mądrego nie wydrapiesz!...” Innym razem zaprosiła Matka na polowanie Chelmońskiego, wbrew radom Ojca, który wiedział, że wielki artysta nie bardzo umie się obchodzić z bronią. Zaraz w pierwszym kotle postrzelił Chelmoński sąsiada lekko śrótem w ucho. Dostrzegł to Rembowski, wielki myśliwy, i w niesłychanem oburzeniu krzycheć począł na cały głos: „Sztachety ci malować i szyldy, smaruchu, a nie polować!...” Chelmoński zbladł, rzucił strzelbę nieprzytomny w podorywę i prosto z pola, jak stał, umknął kłusem, gnany przera-

żeniem, do niedaleko położonej swej Kukłówki. Rembowskiemu nigdy nie pokazał się więcej, unikając go do śmierci; ilekroć miał przybyć w odwiedzinę do Radziejowic, zapytywał uprzednio, czy niema przypadkiem Rembowskiego. Był Rembowski, jak wiadomo, długoletnim bibliotekarzem księżnicy Ord. Krasieńskich i napisał wiele znakomitych dzieł, korzystając z jej bogactw rękopiśmiennych.

Ks. kanonik Z y g m u n t C h e ł m i c k i, przyjaciel Ojca, był wychowawcą uniwersytetów niemieckich. Kaznodzieja wymowny, rozumiejący życie doczesne, był przede wszystkim człowiekiem czynu. Znana jest jego wielka, tyloletnia opieka nad biednymi Warszawy i praca dla nich, czy to przez zakładanie domów noclegowych, przytułków, czy też przez inne dzieła pomocy i żywego miłosierdzia, do których dawał zbożną inicjatywę i grosz. Znane były zorganizowane przez niego tanie ruchome kuchnie uliczne dla robotników, którym trudno było wracać na południe do domu na obiad; ochrzczone zostały one przez warszawiaków mianem „trąbizupki księdza Chelmskiego“, bo dawały znać o swych przejazdach pobudką na trąbce. Niestety, korzystali z tych kuchni przez egoizm ludzie zamożniejsi, zamiast biednych, dla których brakło często strawy, i świetny ten pomysł musiał być zarzucony. Działacz energiczny, zjawiający się zawsze tam, gdzie należało ratować, podnosić, utrzymywać, — zasłużył się wielce przez wydawanie Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich oraz Encyklopedji Kościelnej. Brał później udział w życiu politycznym, a zawsze w życiu



Stary zamek obronny i pałac w Radziejowie.



towarzyskiem, gdzie niezmiernie był lubiany, jako że znał i kochał życie we wszystkich jego objawach. Myśliwy, często u nas polował, towarzysz wyborny, wesoły, w rezultacie zawsze umiejący ze wszystkiego wykrzesać poważniejsze myśli i zasoby dla swych organizacyj i dzieł. Rembowski dla jego żywotności bardzo go lubił, dokuczał mu jednak, nazywając go niższym klerem. W zapale wykrzyknął kiedyś Chęlmicki przy gerylaszu z Sienkiewiczem, dostawszy koronę do szóstki: „Teraz dopiero wierzę, że Stwórca jest sprawiedliwy!...” W odpowiedziach nie zalegał, obracał niemi w miejscu, jak czwórką koni; na bankiecie pewnego zjazdu społecznego, gdy jakiś pan Marjan wystąpił z mową, że w wieku postępu należy zarzucić przebrzmiałe hasła miłości, a kierować się tylko wskazaniem rozumu, — wypalił odrazu: „Chociażbyś mówił językiem aniołów, a miłości nie miał, będziesz jako cymbał brzącały — w ręce pana Marjana!...” Była to jednostka niezmiernie pożyteczna i wpływowa w owych czasach, kiedy panowała ospałość, i gleba społeczna leżała odłogiem. Ks. Chęlmicki, umiejąc obcować z ludźmi, lepszymi ich czynił i za sobą pociągał.

Józef Chęłmowski był mistykiem w sztuce, którą żywiołowo odczuwał wszelkimi instynktami swego bogatego zrozumienia i spostrzegawczości. Naturę kochał, wypatrywał ją i chwytal na gorącym uczynku, spijając tajemnice jej czaru, jak rosę niebieską; wdychał pełną piersią jej boskie zapachy, wchłaniał w duszę jej kształty, barwy, jej ciszę lub niepokój. Zdarzyło mi się podpatrzyć go kilkakrotnie (polu-

jąc przed świtem lub wieczorem na rogacze), jak otulony w burkę siadywał w borze czy na łąkach lub polach i robił szkice. (Ulubione jego konie w taradajce pasły się opodal). Nadawała się do tego malownicza i dzika knieja Radziejowska, część słynnej ongi, królewskiej, jaktorowskiej puszczy. Nie przeszkadzałem mu nigdy, raz tylko zaprowadziłem go na miejsce dopiero co ubitego wyjątkowego rogacza; ale zdaje mi się, że Chelmoński nie był zadowolony z tego, iż zakłóciłem strzałem spokój leśny w najbardziej właśnie uroczystej chwili wschodu słońca. Sienkiewicz bardzo smakował w towarzystwie Chelmońskiego, śledził jego zachowanie się, ruchy, wyrażenia, bawił się nim jako niesłychanym typem (były to czasy tworzenia nowelki „Ta trzecia“). Chelmoński robił w istocie wrażenie człowieka jakby nie z prawdziwego zdarzenia: roztargniony, nieumiejący zebrać myśli ani sformułować całkowitego zdania, wyrzucał ze siebie dorywczo okrzyki, wyrazy, monosylaby, dźwięki; rzekłbyś, nieprzytomny napozór, zataczający się, jakby obłąkany światem zewnętrznym. Zaniedbany w ubraniu, w nieczyszczonych butach z cholewami, ubrany w kolorowy samodiał łowicki, w kapeluszu słomianym bez wstążki, wyglądał jak chochoł. Był nadmiernie psuty przez panie, które namawiał do wyrzeczenia się wszelkiego komfortu i świata, a do przedstawiania tylko z naturą. One go tak odmiennego lubiły, — jeden dowód więcej, jak się schodzą krańcowości. Był Chelmoński mistykiem i w życiu, kochał samotność, wiele przemyślał, zapatrzony we wszystko, co nadprzyrodzone.

Z dziełami Mickiewicza nie rozstawał się i rozgrzeszał go z błędów Towiańskiego. Za młodu utrzymywał stosunki z Witkiewiczem, Gierymskimi, Gersonem, Piechowskim, Sienkiewiczem, Modrzejewską i t. d. Przyjaźnił się z wyższym duchem, jakim był Chmielewski (Ojciec Albert), który wywarł na niego wielki wpływ duchowy, zatarty następnie życiem paryskim i wielkim powodzeniem. Wpływ ten odżył potem w samotności biednego pustkowie wsi polskiej, jakim była Kuklówka, i trwał do zgonu. Bywałem u niego często. Żył jak anachoreta; jeździł często do świętobliwego ks. Pełki, staruszka (portret jego wymalował w „Święconem“) do Ojrzanowa, na modlitwy, na pociechę. Widywaliśmy często Chelmońskiego, klęczącego w burce na środku kościółka Radziejowickiego i modlącego się we łzach, jakby w ekstazie, ze złożonemi wysoko przed twarzą dłońmi. Uczestniczyłem w Ojrzanowie w rozczulającym prostotą jego pogrzebie wiejskim, którego nigdy nie zapomnę w życiu, jak również zwyczajnej, zbitej z desek trumny, na którą rzucałmy ze ściśniętem sercem grudki ziemi...

A n t o n i D o n i m i r s k i, olbrzym o złotem sercu, oraz **M ś c i s ł a w G o d l e w s k i** byli wytrawnymi dziennikarzami i ludźmi kryształowego charakteru i uczciwości społecznej.

A n t o n i Z a l e s k i, wielkich zdolności pisarskich pełen swady i doskonałego dowcipu, pozostawił dużo artykułów dziennikarskich oraz znakomitą książkę „Towarzystwo Warszawskie“, dającą świetny obraz ówczesnej Warszawy

urzędowej, ale też i poważnej, społecznej i towarzyskiej. Zmarł, niestety, przedwcześnie.

K. M. G ó r s k i, niedoceniony, subtelny i wrażliwy poeta, bel esprit, — ślicznie nam nieraz mówił wiersze swoje i cudze. Niecodziennych, wyrafinowanych zdolności artystycznych, odczuwał on sztukę plastyczną przenikliwie, łącząc ją w swem samoupojeniu myślowem nierozzerwalnie z poezją. Dowcipu wytwornego, esteta i idealista, melancholik — był ofiarą dokuczliwości licznych swych stryjów, radykałów, nakłaniających go do zajęć praktycznych, gdy widocznie talent porywał go właśnie na przeciwne bieguny: jęknął kiedyś z tego powodu Górski do śmiejącego się Sienkiewicza: „Jakże teraz rozumiem króla Popiela, który wytruł swych stryjów!...” Talent pisarski odziedziczyli, zarówno on, jak i brat jego cioteczny, Józef Weyssenhoff, po matkach, Łubieńskich z domu, które były siostrami. Współpraca tych spokrewnionych pisarzy raz się w żartobliwy objawiła sposób, kiedy, zjechawszy się na święta Bożego Narodzenia w Woli Pękoszewskiej, majątku rodziców Górskiego, ułożyli cały szereg zabawnych i wielce trafnych kolend o ludziach współczesnych. Górski pisał, rzeźbiąc mozolnie słowa, zdania, okresy; kochał się w doskonałości, rzewny, tęskniący, marzeń nieziszczających się pełen, złego zdrowia; umarł, niestety, w wieku męskim, niedopowiedziawszy się, ofiara załamań życiowych.

Już nie jako o gościu, ale jakby o członku naszej rodziny wspominam o drogiej naszej nauczycielce, pannie M a r j i

W a r n k ó w n i e. Zawdzięczam jej wiele, a przede wszystkim zaciekawienie do języka ojczystego, jakie we mnie, jeśli nie wzbudziła, to wzmocniła. Uczyla nas i czytała nam głośno wiele książek polskich, wiekowi naszemu wówczas przystępnych, zwracając uwagę na składnię, na styl, na piękność słowa. Umiłowaliśmy tak dalece ten przedmiot, że gdy raz wykladała nam coś innego, oceniliśmy to jako nudne, i na znak protestu uciekliśmy z siostrą z pod jej opieki, włączając na sam czubek ogromnego starego świerka, od strony południowej pałacu Radziejowickiego rosnącego. Stamtąd widzieliśmy, jak panna Warnkówna biegła po całym parku jak kurka za kaczetami i szukała nas, wołając: „Dzieci, dzieci, gdzie jesteście?” Nadomiar zacząłem z samego kiwającego się czubka udawać kukułkę, głosem widocznie nienaturalnym, bo poznała biedna panna Warnkówna, że nas nie przytrzyma na ziemi, jeno gdzieś w powietrzu. Zawstydzila nas też, doszedłszy do świerka, swemi upomnieniami; zleźliśmy, osmarowani żywicą, jak niepyszni; ale w swej dobroci darowała nam winę, z temperamentu się prędzej wywodzącą, aniżeli z krnąbrności, i zamilczała o niej przed rodzicami.

Była p. Warnkówna nauczycielką z Bożej łaski. Gdy myślę, ile potrzeba do wychowania dzieci cierpliwości, zaparcia się, wyrozumiałości, dobroci, powagi — podziwiam stan nauczyciela, który jest prawdziwem powołaniem, jak kapłański. Panna Warnkówna kładła w ten czyn życia całe swe poświęcenie i niezmierny trud; wczuwać się umiała z za-

pałem w młode umysły, kierować mądrze ich rozwojem, przyswajając im naukę stopniowo, otwierając im świat zrozumienia i wrażeń. Jak wschodzące słońce rodzi życie na ziemi, tak oświata rozjaśnia umysł dziecka i daje mu rozwój. Gorąca Polka, oddała społeczeństwu naszemu, wraz ze swą siostrą Jadwigą, nieocenione usługi, kształcąc całe rzesze młodzieży, zapatrzona w oświatę, jak pasterz owieczek we wschodzącą gwiazdę poranną. I dziś jeszcze, niepomna ułomności sędziwego wieku, kształci nadal siebie i innych, jakby na znak nieśmiertelnej łączności między tem, co było, a tem, co jest.

Sienkiewicz (długoletnią z nim i obfitą korespondencję, obejmującą ok. 160 listów darowała mi Matka do Biblioteki Ord. Krasińskich) z natury zamknięty, marzący, badawczy, nieco spłoszony, czuł potrzebę ogrzania się w atmosferze takiej, jaką stwarzała moja Matka. Otaczała go ona najdelikatniejszymi względami, prostotą, szczerością gościnności, z której to w naturalny sposób, bez ekstaz ni wykrzykników, szedł do znakomitego człowieka serdeczny podziw i wdzięczność za to, co nam dawał pod względem duchowym.

Fałszywem byłoby mniemanie, jakoby Sienkiewicz stronił od dostatniego bytu. Przeciwnie, lubił on wygodę, dobrą kuchnię, zamożność, pełnię życia polskiego, wytworność komnat, ogładę i kulturę towarzyską. Wielki talent, sława, która go wyniosła ponad szary tłum literatów warszawskich — stworzyły u niego potrzebę wyzwolenia się z cia-

snego kółka partykularza, rozszerzenia widnokregu przez poznawanie i innych środowisk kulturalnych polskich, chociażby one nie były koniecznie demokratyczne, co narażało go w tym względzie na gorzkie krytyki dawnych towarzyszków broni. Literaci warszawscy zazwyczaj wszystko zaczęli dopiero od siebie, jak gdyby nie było wcale poprzedzającej ich kultury. Niesłuszne były zresztą owe boczenia się, bo, mimo ciężące tak poważne przewinienia na wielu dawnych polskich rodach historycznych, lub tylko znanych, — trwała w nich jednak stara kultura, co nie daje się zetrzeć. Wogóle należało owe rody, zanadto ongi wybujałe brakiem odpowiedniego prawodawstwa i jego ścisłego zastosowania, krytykować nie zosobna, ale zawsze w porównaniu z innemi warstwami społeczeństwa polskiego, ze szlachtą, z mieszczaństwem, z inteligencją zawodową, urzędniczą, z chłopem, z rzemieślnikiem i t. d., posiadającemi identycznie te same cnoty i wady narodowe, co i pierwsi, tak że porównanie ówczesne nie byłoby znów wypadło tak źle, z różnicą kultury i zamożności. Koniecznem zaś stawało się wzajemne oddziaływanie na siebie różnych sfer i klas, jeśli się miało w jedność przygotowywać Ojczyznę oraz polską elitę, złożoną ze wszystkich stanów, kierunków i myśli narodowych. Każdy demokrat — uczony, zawodowiec, literat, społecznik — byle posiadał rzetelne zasługi, zalety, wychowanie domowe, ogładę — mógł, jak to było często w Krakowie, we Lwowie i t. d., „bywać“. Winien był, porzucając uprzedzenia, przesady liberalno - demokratyczne względem

hierarchji kulturalnej i towarzyskiej, sam się starać o kontakt z nią; wykazywać rozum, mniej zazdrościć, nietylko zważać na różnicę urodzenia, zamożności, elegancji i t. p., jak na narodowe uczucia innych warstw, — i z dobrą wolą w towarzystwach obcując, wpływać na nie, wprowadzać weń swe postulaty społeczne, oświecać je nowymi pojęciami wciąż naprzód idącego życia, przygotowywać przyszłość przez wpajanie nowożytniejszych myśli w świat ten wielki, z natury płochy, a nawet zaśniedziały niekiedy. Znałem przecież rodziny, bardzo zamknięte w sobie, żyjące jeszcze wówczas ideami z przed rewolucji francuskiej. Nie był to konserwatyzm oświecony, ale zastój; wskutek zupełnego odosobnienia, a więc braku krytyki ludzkiej, uważały się one za wyższe od innych.

W ten sposób każdy utalentowany człowiek, demokrat, mógł być wchodzić, w pełnym swym rynsztunku, śmiało w szranki owej elity, hierarchji, poświęcając w imię oświecenia patriotycznego swój jakiś fałszywy wstyd, przecenianie swej godności, pychę, pewne zażenowanie może, — dla dobra sprawy ogólnej, zyskując bez żadnej wątpliwości bardzo wiele w obcowaniu z tradycją i ze starą kulturą. Chcąc przerabiać, naginać, oświecać, należy być nietylko Zoilem, ale i apostołem; bocząc się, zazdroszcząc, nienawidząc, pomiatając zasługami innych, nie przetwarza się ludzi lepszych. Bez elity niema wielkiego narodu, państwa, miasta; ona nadaje ton intelektualny, towarzyski i kulturalny innym, którzy chcąc nie chcąc muszą się doń dostosować. Nie-

ma na to rady. Wszakże Bonaparte, zaraz po zdobyciu władzy, starał się zlać wysokie towarzyskie dawnego świata wartości z nowożytną zasługą. Jedni korzystali od drugich, i znów utrwalił się ów salon paryski, francuski, grający od niepamiętnych czasów olbrzymią rolę w kształtowaniu się opinii, myśli galijskiej, w ramach wytwornej ogłady.

Trudne nadwyraz było to zadanie jednoczenia w owej demokratycznej, nieledwie demagogicznej Warszawie, ludzi różnych pokrojów i przekrojów. Izolowanie się wszystkich prawie warstw społecznych było wielkie. Dużemu taktowi i umiejętności Matki zawdzięczano, tak w Radziejowicach, jak i w Warszawie, lub gdziekolwiek się znajdowała, łączenie rozbieżnych żywiołów. Przy całej swej, w dobrym sensie pojętej ambicji rodowej (Matka nigdy nie miała nastawienia klanowego), pragnęła dopuszczenia co prędzej świeżych prądów, nowych ludzi do swej intelektualnej rodziny. Bywały niezmiernie żywe, oświecające rozmowy i dyskusje w jej salonie, który nie pozował na salon literacki, ani polityczny. Zdarzały się niekiedy różne epizody, jak gdy np. pewien przedstawiciel demokracji szlacheckiej odezwał się rubasznie i złośliwie: „Eh! bo te stare rody w Polsce zanadto dmuchały...“, — na co odrzekł spokojnie stary książę Stefan Lubomirski: „Ma pan niewątpliwie rację, ale wzamian szlachta zanadto zazdrościła“, — rozdzielając w ten sposób sprawiedliwie winy na obydwie strony. Sądzę, że naród ma taką elitę, taką szlachtę i arystokrację rodu i ducha, do jakiej dopuści i jaką sobie wychowa.

Sienkiewicz nie brał nigdy ciasno żadnych objawów życia polskiego. Jako jeden z przykładów niech posłuży fakt, że powiedział kiedyś przy nas, odchylając trochę rąbek dawnego życia: „Wstydzę się zawsze zakończenia Janka Muzykanta; leczyłem się z demagogji, jak z choroby, i już się wyleczyłem“. Podróże, za którymi przepadał, gwarne, wesołe zebrania dawały mu przegląd życia polskiego, rozmaitość wrażeń, ułatwiały studja współczesnych ludzi i czasów i otwierały skarbnicę dla poety, dla powieściopisarza.

Radziejowice z całym swym otoczeniem bywały przeważnie tem szczęśliwem miejscem, gdzie zazwyczaj bywał Sienkiewicz znakomicie usposobiony duchowo (ob. list z dn. 1 kwietnia 1896 r.), czując się bezpiecznym wśród prawdziwej przyjaźni, życzliwości, swojskiego ciepła; czuł się do tego stopnia dobrze, że nierzadko tam właśnie doznawał natchnienia. Pamiętam go często śmiejącego się do łez z dowcipów Ojca, Edwarda Leo, Antała Zaleskiego. Matka lub kto inny dorzucali do tych rozmów czy opowiadań umiejętnie słówko przypomnienia lub zapytanie, jak paliwo do ogniska, które zaraz wybuchało żywiej i płonęło jaśniej. Podniecony tem Sienkiewicz wypowiadał cudnym językiem a metalicznym głosem swe historje, myśli, uczucia, deklamował wiersze. „I przyjaciele pomogli rozmowie“ — wówczas poezja zstępowała na ziemię, rozchodziła się, wnikała w nas jak wonność i mieszkała między nami.

Proszę sobie wyobrazić, jak nas takie wzloty przejmowały zachwytem, gdy żywem słowem, równem najcudniejszej

muzyce, czarem przyrodzonym swej osobowości, zapładniał nasze umysły i serca; gdy rzucał w młodą rolę posiew wyższych tęsknot, szerszych zadań Polaka i człowieka. Widzę go siedzącego (mawiał, że musi wygodnie siedzieć, by dobrze opowiadać), otoczonego kołem starych i młodych, o marzącym przepysznych oczu wyrazie, mówiącego nam z prostotą, będącą najwyższym stylem i artyzmem, z wysłowieniem jemu tylko właściwem, rzeczy najlepsze, najpiękniejsze, czasami najweselsze. Gdy z powodu wyjazdu kończyły się owe światy myśli i czucia, ogarniał nas smutek, tworzyła się szara pustka aż bolesna, tak jak się odczuwa gorycz i suchość po przebrzmiałych raptem dźwiękach czarownej melodji. Czuliśmy się wówczas jakby z nieba strąceni. Rozpamiętywanie jego słów odtwarzało dopiero co uleciałych dni obrazy, narzucało refleksje.

Myśl, w danej chwili obchodząca Sienkiewicza, przez dłuższy czas nie opuszczała go, pracowała, nurtowała w nim i stanowiła w najprzeróżniejszych objawach i oświeczeniach treść powtarzających się ciągle jego rozmów, jakby głośnych roztrząsań, badań, sprawdzania, samokrytycyzmu, nawet zapytań, rodzaj — jeśliby tak rzec można — obsesji. Pomnę (były to czasy tworzenia *B e z D o g m a t u*), niejednokrotne na ten temat rozmowy, z uporem się niejako wznawiające. W różnych odstępach pobytu swego w Radziejowicach czy w Warszawie wracał do psychologii niektórych postaci, głównie kobiecych — śmiałbym twierdzić, że kobietę polską opisywał raczej taką, jaką ją chciał być

widzieć, niż taką, jaka jest ona w rzeczywistości, — do Płoszowskiego i t. d. Konsekwentnie wpływała wtedy główna postać tego człowieka z dwoistą naturą, którego tragedją była zbytnia analiza własna, złamanego brakiem woli, mimo że uposażonego we wszelkie dary boże. Ostrzegał nas Sienkiewicz przed podobnym typem d'improductivité Slave, wyraźnie słowiańskiej, która ma być w jego książce odstraszącą dla Polaków przestrogą przed przeczuleniem, przesubtelnieniem myśli, nudą i przesytem, wygodnictwem, przygodnem z dnia na dzień życiem, uwolnionem — przez lenistwo — z nakazu obowiązków rodzinnych, społecznych, narodowych. Mawiał, że takie charaktery spotykał w Polsce często, głównie wśród ludzi zdolnych, wykształconych, o wybitnej kulturze.

Być może, że sama treść pociągnęła autora do przeanalizowania i, co za tem idzie, do rozwodnienia powieści, co sam wyraził kiedyś Matce w słowach: „Żałuję, że Bez Dogmatu nie streściłem w jednym lub dwóch tomach, zamiast go dawać aż w trzech“. Podobnie zauważył Ferdynand Brunetière po przeczytaniu dzieła: „C'est un cheveux coupé en quatre“. Ja zawsze widziałem w Płoszowskim poganina, odnajdując go w całej pełni później w Petronjuszu. W typach tej powieści szukano podobieństw do współcześnie żyjących (ob. list Sienkiewicza z dn. 19 czerwca 1890 r.).

Tak jak dla Mickiewicza błogosławieństwem było wyrwanie się z ciasnego kręgu Kowna i Wilna do Rosji, gdzie, pod wpływem innych pojęć, środowiska i przebogatej natu-

ry, dojrzał do wielkości, — tak Sienkiewiczowi, którego męczyła niezmiernie praca dziennikarska w małym kole małych ludzi, posłużył wyjazd do Ameryki, gdzie samotny, skąpany w olśniewającej przyrodzie, z oddalenia, dającego zawsze dobry wymiar do sądzenia ludzi i rzeczy, — myślał i czuciem przenikał dolę i niedolę ojczyzny. Gdy go porwała tęsknota, powrócił — wielkim już pisarzem; ona to, jako wywodząca się z miłości, stała się twórczynią natchnienia.

Tacyt, Szekspir, Pasek byli ulubieńcami Sienkiewicza, w których się zagłębiał. Zresztą czytał niesłychanie dużo we wszystkich językach, poczynawszy od kronik i pamiętników a kończąc na powieściach, — co go podniecało i uczyło. Wykształcenie rosło z latami, co było znać w każdej przez niego poruszanej sprawie. Z poetów naszych uwielbiał, czcił Mickiewicza, kochał Słowackiego. Nieprzebrany był zasób jego przyrodzonego, naturalnego, duchowego bogactwa; i bez podniety ksiąg byłby musiał tworzyć, gdyż wyobraźnia nie dawała mu nigdy wytchnienia ni spokoju; w istocie kładła mu ona przed oczy jasnowidzenie obrazów, ludzi, rzeczy; szumiał w uszach gwar ludzki, tentent koni, huk samopałów; odtwarzało mu się życie w ruchu. — „Widzę, — mówił — np. Skrzetuskiego, gdy tańczy z Heleną w Rozłogach; słyszę doskonale, jak Kozacy cicho stąpają, krocząc nocą z wycieczki pod wały Zbaraża“. Sądzę, że w chwilach natężenia wyobraźni mógł czuć nawet i woń kwiatów, a widzieć karmazyny zachodzącego na oceanie słońca. Ta wyobraźnia opisowa była u niego potęgą, poka-

zującą mu nieustannie nowe światy w mieniących się ciągle, najbogatszych, najprzeróżniejszych objawieniach. „Trzeba tak pisać, żeby się opisywane osoby widziało wprost fizycznie“ (ob. list z dn. 24 kwietnia 1894 r.). Stąd istnieje i działa tak wszystko w jego pismach życiem własnem; jest Sienkiewicz i malarzem i rzeźbiarzem, dającym dech i krew opisywanemu przezeń światowi; architektem, gdy buduje pomysły, zdarzenia; prozaikiem, gdy wypowiada się swem epickim narzędziem — słowem polskim, — ale przede wszystkim wielkim poetą, trzymającym nas w niewoli swego czaru, nieprzemijającego wdzięku, świeżości uczuć, jasności myśli.

Zacieśniały się tedy coraz bardziej węzły przyjaźni z Radziejowicami, głównie przez Matkę, którą Sienkiewicz, poznając bliżej, czcił i szanował, nawet ją podziwiając, gdy znosiła z godnością i spokojem ciężkie chwile życia: „Pani Krasińska jest we wszystkim, co czyni, czuje i myśli, taka lojalna“ — mawiał, czem wybornie określał tę rzetelną w każdej okoliczności istotę. On zaś potrzebował kobiecości, dobroci, łagodności, mądrej naokół siebie przyjaźni, ale również i uznania dla siebie, rozumienia swych myśli, marzeń, oceniania ciężkiej pracy, którą sprawował z trudem i uważał za służbę krajowi (ob. list z dn. 28 października 1894 r.).

I poza Radziejowicami, tam, gdzie zjeżdżała Matka sama, z Ojcem lub z nami, w Warszawie, Krakowie czy Wiedniu, tworzyło się zaraz naokół skupienie. Ludzie gar-

nęli się do niej i schodzili bez przymusu, pociągani jej inteligencją i kulturą. Wspominam tak miłe zebrania w Krakowie, gdzie przybiegali do nas, zaraz po Matki przyjeździe: Sienkiewicz, Karol Potkański, Ludwik Michałowski, Kazimierz Morawski, Kazimierz Pochwański, K. M. Górski, Stanisław Tomkowicz, O. Pawlicki, Ludwik Plater, Zdzisław Morawski z siostrami, P. z Dzieduszyckich Szembekowa, Piotr Stachiewicz, niekiedy August Cieszkowski, Ludwik Dębicki, Adam Sierakowski, Jerzy i Władysław Mycielscy. W Wiedniu — Karol Lanckoroński, Kazimierz Chłędowski, Benoe i inni. Bywało tam niesłychanie wesoło, dowcipnie, gwarnie, bądź w Grand Hotel, bądź w domu Stadnickich przy ul. Grodzkiej, gdzie Matka nierzadko zamieszkiwała. Śniadania południowe przeciągały się często do wieczora, — wtedy cicho kazała Matka zastawiać kolację, jak gdyby nic się nie stało wyjątkowego, by zgromadzonych i rozbawionych gości utrzymać, rozszerzyć gościnność do rozmiarów wiejskich, przedłużyć takie spotkania, przygodnie zebrane, najbardziej zatem zazwyczaj towarzysko dopisujące, bo naturalne. Sienkiewicz raz, śmiejąc się, zauważył: „Dostaniemy jeszcze zapewne nad ranem białej kawy z kożuszką...”. Dziad mój, Stadnicki, gościł zaproszonego przez Matkę Sienkiewicza we wspaniałym swym zamku Vranow (Fraim) na Morawach. Pobyt urozmaicony był spacerami po cudnych tamtejszych okolicach oraz polowaniem na jelenie; niestety, nie udało się żadnego z nich przygonić Sienkiewiczowi na strzał.

Ci, którzy będą starali się odtworzyć salony i życie towarzyskie Warszawy z owych czasów, nie będą mogli pominąć domu Lucjanostwa Wrotnowskich, jako jednego z najbardziej żywotnych i stojących wysoko pod względem intelektualnym. Lucjan Wrotnowski, prawnik i adwokat, wychowaniec Uniwersytetu w Aix, odznaczał się wielkiem, gorącym polskim sercem, niesłychanie bujną naturą i talentem organizacyjnym wielkiej miary. Był długoletnim wiceprezesem Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, — jednej z nielicznych dozwolonych przez rząd rosyjski placówek, gromadzącej w tym przypadku pod płaszczykiem sztuki, jak zawsze w Warszawie, ludzie różnych zawodów dla uprawiania tajnej działalności narodowej. Znamca sztuki, człowiek wielkiego smaku, podniósł poziom wystaw i zorganizował po raz pierwszy pokaz sztuki polskiej na wystawie berlińskiej, wprawdzie pod egidą działu rosyjskiego, czego nie dało się uniknąć, ale tak wybitnie odróżniającej się swem ułożeniem i charakterem polskim, że uderzała swą odmiennością znawców zagranicznych i była podziwiana powszechnie. Gdy Niemcy zobaczyli płótna Chełmońskiego, Wyczółkowskiego, Fałata, W. Kossaka, Wywiórskiego i in., wołali: „Diese verfluchten polnischen Sumpfgeschichten!“. Poza tem znać było dzielną rękę Wrotnowskiego w wielu poczynaniach krajowych, dla których nie szczędził bystrej inicjatywy ni grosza (zarabiał bardzo dużo), a jednocześnie umiał ludzi serdecznością, taktem, będąc sam pełen zalet



Henryk Sienkiewicz na polowaniu w Radziejowicach.



towarzyskich i humoru. Pani Wrotnowska, z domu Ta-
bęcka, siostra pisarki Stefanji Chłędowskiej, bardzo ży-
wotna, wesoła, weredyczka, otaczać się lubiła młodzieżą
obojga płci i wpływać na ich rozwój umysłowy, na nowo-
żytne pojęcia społeczne, bez pedagogji, sprowadzając do
siebie wiele osób wybitnych. Z biegiem czasu dojrzewiała
coraz bardziej, aż zmęczona pustką życia i zabaw, rzuciła
wszystko i oddała się z zapalem, jej tylko właściwym,
miłosierdziu, ale najpoważniej pojętemu; w tym celu
wyjechała do Wiednia i poświęciła się w Rudolphinum
nauce pielęgniarstwa i opieki nad chorymi. Po kilku la-
tach wróciła do Warszawy, gdzie stała się założycielką
i inicjatorką wielu dzieł dobroczynnych, szpitali i ambu-
latorjów, aniołem dla biednych i nędzarzy, którzy za nią
przepadali dla jej umiejętności w rozsiewaniu pociechy
i wesołości. Po nieszczęściach, jakie spotkały jej męża,
zamknęła się w rodzinnym Dłutowie, gdzie żyła do śmier-
ci jak szarytka, otoczona wieńcem ludzi biednych i po-
trzebujących.

W tym to salonie bywaliśmy często. Palilo się tam wśród
młodzieży, wrzało od młodzieńczych temperamentów,
marzeń i zamierzeń. Tam poznaliśmy po raz pierwszy
wielu ludzi znacznych, tam spotykaliśmy Sienkiewicza,
który podkochał się przez czas dłuższy w ślicznej i ła-
godnej pannie Adolfinie Czarnowskiej, siostrzenicy pani
Wrotnowskiej. Ta lubiła kleić małżeństwa, ale chciała
mieć wszystko odrazu gotowe i załatwione, i w tej gorli-



wej a nieumiejętnej prędkości upatrywałbym przyczynę, dla której nie doszło do skutku małżeństwo Sienkiewicza z tą panną, która mogła być obdarować go szczęściem, będąc w jego typie: dobra jak chleb, łagodna jak anioł i bardziej kobieca od kobiety samej.

Pierwsza jego żona, Szetkiewiczówna z domu, była właśnie tym rodzajem kobiety, i dlatego Sienkiewicz nosił w sercu jej obraz i niekiedy, w chwilach szczerości, opowiadał Matce, ile się był do niej przywiązał za tę dobroć, łagodność, wyrozumiałość, tak dla człowieka, jak i dla artysty. Odznaczała się przytem wielką intuicją w ocenie wartości jego literackiej twórczości, i nieraz podług jej rady, pisząc, postępował. Chora, niestety, na suchoty, nie mogła być wyratowana; męką były ostatnie jej lata; w ustach męża jaśniała ona pokorą i chrześcijańską cierpliwością. Zostawiła mu ona dwoje dzieci, które kochał nad życie, dbając o ich zdrowie pieczołowicie; wychowaniem ich zajmował się serdecznie i mądrze. Gościliśmy ich kilkakrotnie w Radziejowicach.

W czasach jubileuszu przebywaliśmy prawie ciągle razem, bo lubił Sienkiewicz z zaufanymi dzielić się często wesołemi i dowcipnemi spostrzeżeniami. Hołdem narodu i wdzięcznością niemało był przejęty, jednakowoż porządnie umęczony z powodu naszej nieumiejętności urządzania w Polsce podobnych obchodów; długie jak węże, puste jak bańki oracje w superlatywach, adresy, akademje nużyły nadwyraz Sienkiewicza, który właściwie

kochał ciszę i samotność. Doszło do tego i to, że dar narodowy, wprawdzie piękny, jakim jest polska ziemia, ale przez niepraktycznych przyjaciół (ks. Chełmicki, Karol Benni) wybrany, nie był dochodowy i stał się ciężarem. Sienkiewicz mówił nam wówczas w tajemnicy, że byłby szczęśliwy z posiadania domku na Starem Mieście w Warszawie. Taki dar byłby w istocie w charakterze i w granicach jego upodobań daleko odpowiedniejszy, oraz nie wymagający trudów zarządzania. Oblęgorek, który na pocziwe zaproszenie Sienkiewicza zwiedziłem przed samą wojną, piękny jako położenie, nie dawał, jeśli tak rzecz można, poczucia znaczniejszej własności, — zaraz bowiem za parkiem i za wzniesieniami roztaczały się już cudze ziemie, — prędzej kolonje wyobrażając, aniżeli ziemiańską ze starym dworem siedzibę; nie dawał też możliwości uprawy roli na szerszą skalę, ani zasobów na utrzymanie rządcy. Pałacyk przerabiany, brzydki, w jakimś stylu willi neogermańsko - wiedeńskiej, był tworem składkowym różnych ofiarnych przedsięwzięć i ludzi — bez smaku; wewnętrzne urządzenie — dary z całego kraju, od szeregu osób, które nierzadko pozbywały się najbrzydszych swych i nieużytecznych przedmiotów — wołało o pomstę do nieba. M. in. stary ks. Roman Sanguszko ofiarował dwa arabskie rzekomo ogiery, które niemi wcale nie były.

We wrześniu 1899 r. Józef Kościelski, znawca i lubownik Słowackiego, wystawił w parku nowozakupionego

przez siebie Miłosławia świetnemu poecie pomnik, uprzedzając tem społeczeństwo nasze, jakby niepomne duchowych rozkoszy z przyczyny autora W Sz w a j c a r j i przeżywanych. Sienkiewicz zaproponował mi listownie, że pragnie mnie mieć za towarzysza na uroczystościach odsłonięcia pomnika. Wielce byłem tą życzliwością ujęty, i pojechaliśmy razem, w towarzystwie Męcislawa Godlewskiego i Antoniego Donimirskiego. W Miłosławiu zjechała się wówczas cała Polska intelektualna: poezja, proza, nauka, muzyka, malarstwo, rzeźba, literatura, prasa — same muzy wąsate lub brodate, a gwar jak na Olimpie. Kościelski urządził kilkodniowe przyjęcie w sposób niezrównany. Słyszałem wszystkie przed pomnikiem przemówienia, wśród nich również i Sienkiewicza, arcydzieło myśli i formy, czytane przez niego metalicznym, niezbyt silnym głosem, mimo to wyraźnie słyszalnym; przede wszystkim bowiem dopowiadał on zawsze każdy wyraz starannie do ostatniej sylaby: ekstaz żadnych ani zawożenia przy uczuciowych ustępach; wierne stosowanie się do interpunkcji; kończąc zdanie wykrzyknikiem, nie krzyczał przeraźliwie, ani też jęczał boleśnie; przy znakach zapytania pytał, a nie wyrażał rozpacz i t. d... Wogóle równomiernie snuł swą przedzę słowną i tylko w niektórych chwilach drgał mu głos, nabrzmiały wzruszeniem.

Obiady w Miłosławiu stały się areną krasomówstwa, wieczory były poświęcone deklamacji. Sienkiewicz nie brał w tem czynnego udziału, tylko słuchał uważnie, nie-

kiedy ironicznie się uśmiechając. Z dobrych recytacyj wierszy, pamiętam część *W Szwajcarii*, wypowiedzianą przez Marjana Gawalewicza, oraz początek poematu *Noc Strzelców w Anatolji*, wzruszająco deklamowanego przez samego autora, starego, z siwą brodą, Karola Brzozowskiego (ojca zgasłego przedwcześnie poety, Stanisława). Fałat, uderzony jego pięknością i wyrazem, zrobił wówczas w kilka godzin jego podobiznę akwarelą.

Sienkiewicz był otoczony, rozrywany, obserwowany, fotografowany w różnych chwilach, wyprowadzany na spacer, odprowadzany do domu, bawiony, żywiony umizgami. Ponieważ zaproszono go do wielu gościnnych siedzib okolicznych, zabrał mnie z sobą. W dzień wyjazdu z Miłosławia do Śmiełowa odprowadzili nas Kościelscy z rodziną i prof. Kazimierzem Kostaneckim powozami aż do Warty, która tam mętna i żółta płynie wśród łożyn i piasków, — gdzie na promie gospodarz, Józef Kościelski, wyciągnąwszy z kosza butelki, kazał nam pić strzeмиennego, co się odbywało wesoło i głośno, przy pękaniu korków.

Droga prowadzi poza Wartą przez las dębowy rzadki, ale za to o tak niesłychanie grubych dębach, że tworzą one jakby świątynię, łącząc się konarami w sklepienie; to starszyzna dębowa; jeden okaz umieszczony w należnym odstępie od drugiego; dołem szmaragdowa murawa nakształt dywanu, bo promienie słońca wskutek rzadkiego

rozmieszczenia pni dochodzą do ziemi i grzeją. Sarny przebiegają nam drogę. Widok ten daje Sienkiewiczowi sposobność do zapytania mnie, ile te dęby mogą wykazać lat i czyby mogły pamiętać bitwę pod Grunwaldem, t. j. 1410 rok? (była to epoka tworzenia *K r z y ż a k ó w*). Odpowiadam, że napewno mają przeszło 500 lat, a niektóre są o wiele starsze, być może sięgając i tysiączki.

Sienkiewicz się rozmarzył. W powozie zaczął nam mówić, co to jest za ogromna trudność odtworzyć dawność, wskrzesić dalekość, rzeczywistą przeszłość; jak szukać człowieka — gdy źródeł archiwalnych ilość nikła w porównaniu z całokształtem życia zaginionych pokoleń. — „Najwięcej męczę się nad językiem, którym mówić mają ówczesni ludzie“ — opowiadał; w piśmiennych pomnikach panowała bowiem jeszcze łacina (prócz niektórych modlitw, Bogarodzicy i t. d.). Więc szuka on mowy u żyjących, zatem u chłopca mazowieckiego, u małomieszcza-
nina, wśród gwary kaszubów, górali zakopiańskich, kurpiów. Lud jest najbardziej wiernym przechowawcą dawnych zwyczajów, obyczajów, niezmiennego zasadniczo języka; u niego jedynie czerpać można wiadomości, zbliżone do prawdy dziejowej; resztę musi zrobić talent pisarza, intuicja, wżycie się w psychikę owych ludzi pierwotnych, twardych i surowych, obcujących więcej z przyrodą, niż my. Poruszał też i inne tematy. Niepomny trudów, które go trzymały w opracowywaniu ówczesnem *K r z y ż a k ó w*, opowiadał nam, że już mu się nowa marzy po-

wieść, której nazwa byłaby: „R o s a m y s t i c a“. Nie wiem, o ile zachowały się ślady owych niespełnionych zamiarów.

Otóż i Śmiełowo, gdzie głównie Sienkiewicza prosto, serdecznie, a jakże gościnnie witają państwo Chelchowscy, młode małżeństwo (pani z domu Donimirska). Podziwiamy śliczne gospodarstwo, park i pałac z salą, którą zamieszkiwał Mickiewicz w 1831 r.

Stamtąd jedziemy w odwiedziny do p. Ludwikostwa Ślaskich do Trzebca (pani z domu Świacka), dokąd zjeżdżają sąsiedzi: Roman Komierowski, Adam Sierakowski, Danielewski, redaktor *Gazety Toruńskiej*, Kalkstein i in. Jak wszędzie w Księstwie, gospodarze przychyliliby nam pragnęli nieba. Droga nasza kieruje się następnie do Orłowa do brata, Kazimierza Ślaskiego (pani z domu Graeve), gdzie przyjęcie przekracza już zwykłe ramy gościnności, tak jest doskonale i szczerze staropolskie.

Po wybornym obiedzie, po niezliczonych toastach, obiadły Sienkiewicza, jak zwykle, wianuszkami panie (prof. Kazimierz Morawski nazywał to w Krakowie nabożeństwem z wystawieniem), zapatrzone w niego, słuchając jego opowiadań, wyciągając na dalsze. Mężczyźni, zebrani przez gospodarza, umieścili się w sąsiadującym pokoju, gdzie przy kawie i likierach zabawiał nas Ślaski swym niesłychanym humorem, — był sobie bowiem szlachcic srogo podpił dla uczczenia takiego gościa; dykteryjki i fa-

cecje staropolskie tryskały jedne za drugimi. Zaglądał Ślaski raz wraz do pokoju z paniami i z Sienkiewiczem; wracał do nas co chwila, na palcach, szepcząc: „Jeszcze żyje...“. Wreszcie, około 12-ej w nocy, znudziło mu się to: zamasyście wkroczył do komnaty i zapytał gromko: „Czy jeszcze pana panie nie zamordowały?...“ Proszę sobie pomyśleć popłoch wśród pań, ale zarazem i radość Sienkiewicza, zwolnionego z opresji. Ślaski bierze go pod rękę, prowadzi do nas, sadza na kanapie i uprasza natrętnie Sienkiewicza, (tak w sobie zamkniętego zwyczajnie), o jakieś zabawne anegdoty z jego życia romantycznego... Wreszcie porywa lampę naftową trzęsącą się ręką, — zdrowo był już zaproszony — i, sunąc z nią na palcach, a drugą ręką prowadząc Sienkiewicza, ze słowami: „Cicho, sza...“ — wychodzi na ganek i mówi: „Panie Henryku, oświecę panu lampą księżyc, żeby go pan lepiej zobaczył“. W istocie na niebie świecił jasno, czerwono cudny księżyc, którego widok miał ośmielić gościa do opowieści sercowych!... Sienkiewicz zaśmiewał się do łez, bo lubował się w zabawnych scenach i uprawiał przytem zawzięcie łowy z sieciami na oryginałów polskich.

Sienkiewicz miał zamiar zbliżyć się ostrożnie, po przez majątności polskie pomorskie, do Prus Zachodnich i obejrzeć pole bitwy pod Grunwaldem. Blisko tego miejsca, pod Lidzbarkiem i Działdowem, leżał majątek p. Mieczkowskich, który miał być naszą bramą wypadową. Niestety, czyjaś niedyskrecja wydała przedwcześnie tajemnicę.

Czujność władz pruskich została obudzona. Z żalem więc, z obawy nieprzyjemności, nawrócić musiał z drogi Sienkiewicz, a my z nim, — z wielkim moim smutkiem, wspomnienie bowiem oglądania z nim razem takiego szafca naszej sławy byłoby mieszkało w nas niezatarte. Pojechaliśmy do Nieżuchowa i Komierowa, własności Romanostwa Komierowskich, otoczeni życzliwością przez nich i ich młode i miłe córeczki. Następnie do Rogalina, do Raczyńskich, gdzieśmy zastali O. Pawlickiego, dwóch synów Augusta Cieszkowskiego, Augusta i Krzysztofa, oraz małych synków państwa domu, Rogera i Edwarda. Oglądaliśmy Chrystusa Rembrandta i pierwszorzędną galerję nowożytną polską i zagraniczną, umieszczoną jeszcze wówczas w piwnicach pod pałacem. Rozmowy obracały się naogół około wysokich zagadnień, więc Sienkiewicz filozofował.

Przez cały czas tej miłej podróży był on w wybornem usposobieniu. Podziwiał też niemało sposoby praktyczne, jakimi się poznaniacy bronili przed wywłaszczeniem i wynarodowieniem; obawiał się jednak zanadto wielkiego materializmu wśród obywatelstwa wielkopolskiego. Książek polskich było naogół po dworach bardzo mało; szkoły niemieckie, wojskowość narzucały pruskiego ducha, kierowały ponętami w stronę Berlina lub Wrocławia, jakby się na nich kończył świat. Dosyt, dobrobyt, ułatwione świetną organizacją gospodarczą niemiecką, wytwarzały zanadto wygodnickie życie, gdzie wszystko

było podawane Polakowi jak na talerzu; mógł ten dosyć stać się przyczyną zniewieściałości i zaniku cnót twórczych oraz czujności, potrzebnych do wysiłku i do ciągłej walki.

Sienkiewicz, jak się powiedziało, kochał życie pod wszystkimi postaciami. Za podróżami przepadał, były one potężną dźwignią jego zdrowia, konieczne dla rozmaitości wrażeń; dawały mu też potrzebny spokój i samotność, mączone niestety coraz bardziej wyzyskiwaniem jego czasu i sławy dla narzucania mu rzeczy drugorzędного znaczenia, albo dla zaspokojenia próżności ludzkiej. (Jednem z najważniejszych jego odpoczynków bywało polowanie; rzadko kiedy Radziejowickie opuszczał. Jako myśliwy posiadał właściwe każdemu łowcy znamię pierwotnego człowieka — chciwość zdobycia. Przytem jednak bywał bardzo często roztargniony, nieuważny i nie stał spokojnie na stanowisku.

Nie zapomnę o zabawnem zdarzeniu. (Podczas jakiegoś miotu, trwając na sąsiednim z nim miejscu, spostrzegłem, że Sienkiewicz, oparłszy strzelbę o drzewko, wyciera szkła okularów rękawiczką, poczem założywszy je na nos, wyciąga pulares i czegoś szuka!) Staliśmy przed gąszczykami olszowo-brzozowymi i trawami. (Widzę raptem, jak na stanowisko Sienkiewicza sznuruje lis, który, spostrzegłszy jakieś ruchy podejrzanego, na chwilę przystanął. Zrozumiałem zaraz, że lis w takich warunkach wróci i na Sienkiewicza nie wyjdzie. Zatem, nie wiele się

namyślając, a nie było odemnie tak daleko, strzeliłem i zabiłem. Sienkiewicz i tego na szczęście nie spostrzegł, bo w tym momencie przechodziły przez linję jakieś zające, a on za strzelbę, nieroztropnie o drzewko opartą, chwycił właśnie nerwowo. Nie wiem, czy owe szaraki położył. Dokuczał mi potem pewien towarzysz, który tę scenę widział, brakiem gościnności, chciwością myśliwską. Tłumaczyłem się jak mogłem; jednak miałem wrażenie, że mój przyjaciel zazdrościł, gdyż wiedział, iż, sąsiadując z Sienkiewiczem, korzysta się więcej, niż przy innym strzelcu, na ilości położonej zwierzyny.)

Dobro ogólne było zawsze marzeniem Sienkiewicza. Dlatego też nie był on przyjacielem doktryny socjalistycznej, jako niekonstruktywnej, lecz przenikającej pesymizmem, rozkładającej naród, tworzącej ostatecznie nową tyranję, gorszą od absolutyzmu, bo wywołującą walkę klas i przerost jednej nad drugimi. Zresztą uważał on, że nauka Chrystusowa zawiera w sobie tak głębokie i dostateczne prawdy i rękojmię dla chrześcijańskiego współżycia między ludźmi, — byleby były wykonywane wiernie i z dobrą wolą, — że inne ludzkie doktryny są tego boskiego prawodawstwa jeno złośliwemi karykaturami. Pamiętam, jak w 1905-6 r. psuły Sienkiewiczowi radość ze zwycięstw Japończyków nad Rosją wewnętrzne walki socjalne w Królestwie, aż do bandytyzmu się posuwające. W owe czasy miejsca sobie nie mógł znaleźć po prostu, a gdy mu opowiadałem o kilku napadach na dwo-

ry i kolonje w pobliżu Radziejowic, rzekł mi: — „Musisz sobie zorganizować samoobronę“, — co też uczyniłem, mając w pobliżu robotniczy, niespokojny Żyrardów, podniecony przez socjalistów, których hasła przeradzały się w komunizm. — „Polakowi od Polaka zawsze miłość się należy“ — mawiał stale. Od polityki stronił; rozumiał, że jest ona sposobem, manewrem, ale bał się jej przewrotnych dróg i przepaści. Zgnilizny Wschodu, jej podstępного wsiąkania w dusze i w obyczaje polskie się lękał; ale za wroga najpiekniejszego uważał zawsze Prusactwo; odmawiał mu nawet miana chrześcijańskiego narodu, cywilizacji i organizacji jego nie utożsamiając z prawdziwą kulturą.

Polski indywidualizm — bez jego osłabienia — chciał widzieć ujętym w pewien system ogólny, kierujący się zadaniami najbliższej potrzeby, w ostatecznym celu odrodzenia tak duchowego, jak i materialnego narodu, organizacji szarego życia od podstaw, — przedewszystkiem zdrowej oświaty. Macierz Szkolna, jedyna na owe czasy tolerowana placówka, była jego okiem w głowie.

Życie Sienkiewicza naogół za szczęśliwe uważać należy. Dopiero lata 1892-94, t. j. okres wstąpienia w powtórny związek małżeński, rozpoczęły epokę przykrości, smutków, rozdrażnień i rozczarowań, jakby na potwierdzenie prawdy, że całkowite szczęście nie może stać się udziałem człowieka na ziemi. Byłem obecny na ślubie i na weselu w listopadzie 1893 r. w Krakowie. Odbływały się wystawnie,

przy udziale całej elity krajowej i miejscowej, lecz jakiś cień chłodny roztaczał się nad uroczystościami, które nie miały charakteru radosnego, ale raczej — światowej poprawności. Znałem dobrze obydwie rodziny. Małżeństwo nie było dobrane ani wiekiem, ani usposobieniem, ani środowiskiem osób, związek zawierających. Jak zwykle w takich wypadkach bywa, zerwanie odbiło się na obu stronach boleśnie. Sienkiewiczem wstrząsnęło ono dotkliwie, czego ślady znajdują się w listach do Matki, która rzecz brała sprawiedliwie i uspokajała, o czym Sienkiewicz zawsze z wdzięcznością wspominał. Rodzina Połanieckich natomiast wzbudziła nieporozumienia, krytyki i lży. Wypływa tu wieczna sprawa, do jakiej granicy przysługuje poecie, pisarzowi, artyście, czerpiącemu pełnemi rękami z obserwacji życia, licencja, zastosowana może w tej powieści trochę za mało dyskretnie i zbiegająca się nieszczęśliwie z właściwościami i z współczesną rzeczywistością owych smutnych dni. Sienkiewicz, tak jak ongi po *B e z D o g m a t u*, tłumaczył się i teraz Matce w listach, odpierając zarzuty, jakoby tworzył dokładne portrety osób, ówczesne zdarzenia przeżywających (ob. list z dn. 19 czerwca 1890 r. do Rodziców, oraz list z dn. 28 czerwca 1894 r. do Matki). Na ogólną twórczość jego nie wpłynęły owe przejścia niepomyślnie. Przeciwnie, narazie rozbolały, zamknął się w sobie, oderwał się siłą woli od nastroju najbliższej przeszłości, a przeczuciwszy się myślą twórczą, z młodzieńczą elastycznością, w świat

inny, rzymski, napisał *Quo Vadis*. Dojrzał ogromnie i poszukiwał sobie oddanych, aby częściej, ale też i spokojniej, móc się przed nimi wywnętrzać. Trzeci związek małżeński, bardziej stosowny, zawarty w 1905 r. z panną Babską, jego krewną, osobą zrównoważoną, dobrą i oddaną, skierował łódź jego życia napowrót ku spokojnej przystani rodzinnego życia.

Zaproszony bardzo serdecznie, odwiedziłem Sienkiewicza przed samą wojną w Oblęgorku. Pokazywał mi swą siedzibę szczegółowo. Obchodziliśmy pola, porżnięte jarami, z grupami drzew gdzieniegdzie rozsiadłymi, na płaskowzgórzach, — krajobraz pogodny i wdzięczny. Wiezorami Sienkiewicz rozmawiał dużo. Utkwiło mi w pamięci, że czynił przegląd ludzi, wówczas działających w Polsce, i jakby wyszukiwał myślą nowych zdolności, nowych energij, czynów. Martwił go niejako pewien zastój w naszej sprawie publicznej; męczyło szare życie ogólne, bezpośrednim tylko interesom i interesikom oddane; jakby oczekiwał jakichś wzlotów i odznaczenia się Polaków, przypomnienia świata o naszym istnieniu. Wierzył w Zachód, czego nie definjował wyraźnie, lecz sposobem wspominania dość często Anglii, Ameryki, Francji jako narodów sprawiedliwych.

Aż wreszcie runęła wojna, jak lawina, niby grożąca oddawna, a jednak spadająca niespodzianie, żywiołowi podobna. Z grzmotem dział, z hukiem pękających szrapneli, z trzaskiem niszczonych domostw, z łoskotem wa-

lących się murów, twierdz, borów; poczem następowały nieubłaganie wycia zranionych i jęki umierających. Ludzie rozdzierali się między sobą, rwali się nawzajem w krwawe strzępy, szarpali pazurami, zagryzali jak zwierzęta, bili się, truli, — tracąc poczucie dobra i zła, nie przebacząc, zwyciężani czy pokonywani śmiercią, zadaną im ludzką, bratnią ręką. Dymy wybuchów i pożarów biły w górę pionowemi pióropuszcami, lub też, gnane wichrem, roznosiły się po powierzchni ziemi; ostra woń spalenizny, rozkładających się ciał, śmiertelnego gazowego powietrza — wyciskała łzy i tamowała oddechy; świat cały obryzgany został człowieczą krwią i potem, drżała ziemia, poryta pociskami i okopami. Czyż można było wątpić, nawet na chwilę, że to spada na ziemię kara Boża w całej swej pełni i grozie, w całym swym przerażającym majestacie?...

Lecz na niepamiętnych zniszczenia gruzach i zgłiszczach wyrastały, jak niepokalane linje na śmietniku, najwznioślejsze cnoty nieśmiertelnego człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga: miłosierdzie, litość, poświęcenie, bohaterstwo, — i były odkupieniem za zbrodnie zdziczenia.

Każdy człowiek przechodzi poszczególnie, sam w sobie, tragedję życia. Nie starczy mu już sił, steranemu własnemi katuszami, na przeżywanie tragedjy bliźnich tak mocno, jakby tego pragnął; stąd w nim pozorny brak litości, pewien egoizm osobistego cierpienia, nie pozwalający mu

odczuwać narazie bied cudzych narówni z własnymi. Je-
no Bóg krwawi za wszystkich, a na ziemi święci Jego i wy-
brańcy. Lecz wojna przemożną okropnością swych obja-
wów zabija nie tylko ludzi, ale i osobiste cierpienia czło-
wieka, kładąc mu, dobroczynna wtedy, natychmiast zapo-
minać o swych wewnętrznych bólach na korzyść całej
biedującej powszechności. Nędza zbiorowa bierze wów-
czas niepodzielną w niewolę serca i dusze, zmuszając je
do sączenia ze siebie owej krwi serdecznej w postaci czy-
nów ofiarnych, z nadprzyrodzonego umiłowania całej
ludzkości płynących.

Sienkiewicz nie oglądał już tych pól śmierci na polskiej
ziemi. Zmuszony był wyjechać nagle przez Kraków do
Szwajcarii, aby móc osiąść w neutralnym kraju i pozo-
stać niezależnym od jakichkolwiek t. zw. orjentacyj.
W Szwajcarii nie dał się wyzyskać żadnym, rozlicznym
naówczas, partjom politycznym polskim, ale wzniósłszy
się wysoko na skrzydłach ogólnonarodowego poczucia,
zapanował nad namiętnościami niepokalaną czystością
SPRAWY POLSKIEJ. Był jej — całej, niepodzielnej —
jałmużnikiem, był jej Aniołem Stróżem. Z poety, z pisa-
rza przemienił się w wielkiego kwestarza owego tak licz-
nego zakonu, zwanego biedą polską. Jakoż szalała wojna
w dwóch zaborach, nielitościwie grzebiąc ludzi, miasta,
kościóły, dwory, zagrody i zamożność. I było często tak,
„że nawet odwaga załamuje ręce...”.

Przerwała się nasza z nim stała rozmowa listowna. Do-



Henryk Sienkiewicz na polowaniu w Radziejowicach.

chodziły nas niekiedy pośrednie od niego wyrazy życzliwości i niepokoju o nasze losy w Królestwie, będącem polem walk. Odpowiadaliśmy, jak mogliśmy, ale tylko serdeczne myśli latały ponad granicami państw w odwiedziny jedne do drugich. Wreszcie przyszła wieść o jego zgonie...

Smutno się zrobiło w Polsce, smutno w mojej rodzinie. Żeby się jego w nas odżywiała pamięć, nie przestawaliśmy żyć jego dziełami. W aureoli ich promieniowania czuliśmy się rozgrzani i rozjaśnieni.

Wszystkie co do jednego pokolenia Polaków od początku naszego istnienia dziejowego miały za swoje. Przechodziły one przez straszne chwile, grożące raz po raz zniszczeniem ich bytu, aż wreszcie stoczyły się przez rozbiory w zgubę i w przepaść. Od najdawniejszych czasów wrogi, których był legion, krwią i pożogą znaczyły ślady swych łupieżczych napadów. Nie było danem, z różnych powodów oraz i przewinień własnych, skrzepnąć w państwo mocne, odporne na zło. Dawał nam Bóg na wszystkie owe czasy załamań i nieszczęść na obronę świętych, królów, wodzów, bohaterów. Od czasu utraty wolności obdarzał nas On nietyle mężami stanu czy wodzami, ile wieszczami, poetami, pisarzami — całym szeregiem myślicieli i uczonych, mistrzów plastyki i tonu, zastępujących dawnych obrońców jakże innym, ale jakże potężnym

głosem, piewców wewnętrznego odrodzenia i nadziei. Nie uprawiali oni sztuki dla sztuki — o którym to oderwanym od doczesności kierunku mawiał jeden z najwznioślejszych w narodzie, brat Albert Chmielewski, że byłby on bałwochwalstwem — lecz pełnili z rozkazu natchnienia, dla celów wyższych, posłannictwo sztuki, która w ostatecznym swym wyrazie zawsze prowadzić winna do Boga.

Sienkiewicz był darem Bożym dla mojego pokolenia. Pomógł on nam do życia. A jeśli się pamięta owe czasy, w których się bytowało, ale nie istniało, to stanie się zrozumiałem, że każde jego odezwanie się było dla nas coraz mocniejszym zjednoczeniem, skokiem ku wyżynom, z których nie schodziło się już nigdy. A że umiał mówić językiem człowieka — narodu, więc radowaliśmy się że nam, ludziom, robił się swojski, że ułatwiał zbliżenie i osiągnięcie ideału, w którego imię zwoływał nas zawołaniem: Ojczyzna. Dawał nam odwagę rozpoznawania się w sobie samych, często zniechęconych lub przybitych, przez wykrzesywanie w nas tlejących iskier energii, przedsiębiorczości, fantazji. Doznawaliśmy uczucia jakiegoś bezpieczeństwa w jego optymizmie i opieki w jego moralnej obecności, otaczających nas jakby tarczą swego natchnienia, tak zgodnego z istotą duchową narodu.

Podniósł Sienkiewicz o olbrzymi ton ówczesne życie polskie, nastroił poczucie plemienne na jednolite poświęcenie dla kraju i — jak dzwon Zygmunta, ów najlepszy kaznodzieja — wydzwaniał nam ciągle przypomnienie.

Zaczęły grać w duszach rycerskie jego rapsody, stanęła przed nami zjawia przeszłości, jego językiem i intuicją wskrzeszona, równa rzeczywistości, przejmująca tradycją wszystkie warstwy, — rzekłbyś: pobudka!... Powiedzieć można śmiało, że z chwilą ukazania się *Ogniem i Mieczem* przestały moralnie istnieć podziały — tak mocno stopiła ta epopea rozdarte części w jeden szlachetny kruszec zjednoczonego myślenia. Pisma jego sączyły w sumienia winę niedomagań społecznych. Wprowadzał nas w dramat starożytnego świata, w zwycięstwo krzyża, każąc je nam przeżywać z zapartym oddechem, w najwyższem napięciu ducha i zmysłów. Chorzy, ciężką powaleni niemocą, gdy ich już nic nie cieszyło, kazali sobie czytać Sienkiewicza. I przyszedł czas, w ową wielką wojnę, kiedy nasi żołnierze pochłaniali w okopach *Trylogję*, marząc o odparciu wroga, jak niegdyś Krzyżaka, Turka, Szweda, Kozaka sprzymierzonego z Ordą przeciwko bratniemu narodowi. Od powieści w *Pustyni* i w *Puszczy* nie można było oderwać nietylko dzieci, ale i starszych. Zakochani zostali na wieki zawojowani opisami scen miłosnych, od których bić będzie zawsze szczerłość i nieśmiertelna poezja życia.

Sienkiewicz daje nam swem objawieniu pisarskiem nietylko obrazy radości i powodzenia, ale przeciwstawia im nieszczęścia i przegraną, czyli cierpienie, — co tworzy pospółu wielki dorobek narodowy i człowieczy. W tej szkole zaprzyszłych doświadczeń nauczył naród, jak z nie-

ustępliwej walki i poświęceń rodzi się jego odporność i ukazał mu, jakby w przezroczu dziejów, zapowiedź ostatecznego zwycięstwa. Artyzmem, treścią, olśniewającą pięknnością widoków natury, odkryciem nowych tajemnic wyrazu polskiego, — dorzucił on nam, po wieszczach, tak zawrotne ilości skarbów, że staliśmy się jeszcze bogatszymi w krainie ducha, uczucia i formy.

Zajaśniało imię jego na świat cały jak tęcza, widoczna zewsząd każdemu spojrzeniu. Tęcza Polski różnobarwna. Był Sienkiewicz moich czasów pocieszycielem, był zdrowiem. W pochodzie dobrych duchów Polski dźwiga on, narówni z niemi, ów łańcuch ciągłości kultury narodowej. Nie minie on, albowiem przemawiał do serca.

Pozdrawiam miłego czytelnika słowami Sienkiewicza, którymi zawsze na odjeździe z Radziejowic zegnał się z nami, dziećmi: „Bądźmy mocni jak lwy, a zdrowi jak orzechy...”.

Opinogóra, dn. 8 października 1933 r.

WYJĄTKI Z LISTÓW HENRYKA SIENKIEWICZA.

1. List do Józefa Krasińskiego z dn. 30 października 1889 r.

Tak się przyjaźnie gawędziło, że to życie nasze Warszawskie z ostatniej zimy stoi mi teraz, na tle monotonji tutejszej [Kaltenleutgeben], jak żywe w pamięci, — i wydaje mi się jakieś wesołe, pełne ruchu, dowcipu; jedne twarze ukazują się za drugimi i czegoś żal, że to minęło, tak jak minęło — i że się to nie wróci i że nic nie dało się zatrzymać! Bo tak zupełnie rozproszyliśmy się, jak stado kuropatw, do którego ktoś strzelił śrótem... Powinniśmy się choć listownie znosić!

2. List do Heleny Krasińskiej z dn. 20 maja 1890 r.

Św. Helena jest przecież tak wielką świętą, że może wysypywać róg obfitości na swych wybranych nietylko w dniu 22 maja, ale kiedy się jej podoba! Gdyby zaś łaskawa Pani uznała za stosowne powierzyć mnie napełnienie tego różka, włożyłbym do niego kolejno następujące przedmioty:

I. Flaszeczkę z eliksirem życia, zdrowia i dobrego humoru, obrotowaną dla Szanownej Pani i jej blizkich, na okrągłych lat sto;

II. Dziesięć mil w promieniu Radziejowic, cum boris, lasis et graniciebus oraz skromny kapitalik, wystarczający na oczyszczenie wszystkich szlacheckich hypotek w granicach dawnej Rzeczypospolitej;

III. Laury artystyczne dla syna;

IV. Odmłodzonych Królów Kacpra, Melchiora i Baltazara, jako zięciów dla córek z koniecznym przydatkiem myrry, kadzidla i złota;

V. Kilka tysięcy wiernych marynarzy, jako żywe świadectwo

pożytecznej działalności i sławy p. Admirała [Józefa Krasińskiego, Prezesa Tow. Wioślarskiego];

VI. Trzy tomy *Bez Dogmatu*, jako wypróbowany środek na wypadek bezsenności.

Trudno być hojniejszym. Mógłbym dodać chyba jeszcze Rektora [X. Chelmieckiego] jako nadwornego Apostoła z obowiązkiem nawrócenia wszystkich pachciarzy w dobrach łaskawej Pani, Donimirskiego, jako karyatydę czy też Herkulesa do podtrzymywania balkonów, Antałka [Zaleskiego], jako puf na kanapę (ten ostatni potrzebowałby częstego trzepania).

3. *List do Józefa i Heleny Krasińskich z dn. 19 czerwca 1890 r.*

Nawet pruderya Krakowska zaczyna się godzić z moralnością powieści, zwłaszcza od chwili powrotu z wyścigów. Poczynają przyznawać, że autor wie, czego chce i dlaczego przeciwstawia dwa odmiennie światy. Tego tylko nie wiedzą, ile ten autor kładzie w tę robotę mózgu i nerwów. Nastąpiła także deruta kompletna w domysłach, kim mają być te osoby. Jakość i charaktery i przygody są coraz mniej podobne do różnych znanych osób i przygód. A tak było łatwo trafić na domysł, że autor ma swoje cele literackie, nie osobiste! Ale może było zbyt łatwo. Zawsze historia Kolumbowego jajka. Byłoby się jednak uniknęło tylu rozdrażnień.

4. *List do Heleny Krasińskiej z dn. 24 kwietnia 1894 r.*

Połanieckich dałem i na Maj dużo. Piszę ich z coraz większym zamięłowaniem i zaczynam wypływać na wierzch. Reszta będzie już raczej spisywaniem rzeczy już stworzonych, nie samem tworzeniem. — Ale i to nie łatwa rzecz, zwłaszcza gdy się chce dobrze pisać i gdy się sobie nie folguje, jak ja nigdy nie folguję.

Nowella Weyssenhoffa podobała mi się, jest dobrze pomyślana, tylko figury nie dość wydobyte z myśli i przez to nie dość plastyczne. Trzeba tak pisać, żeby się opisywane osoby widziało wprost fizycznie. Ale to przychodzi z czasem, zawsze z wysiłkiem — i z rozwojem talentu.

5. *List do Heleny Krasieńskiej z dn. 28 czerwca 1894 r.*

Doprawdy, łaskawa Pani, że ja nietylko nie opisuję nikogo w p. Broniczowej, ale, dając jej wdowieństwo, Teodora, niedoszłego potomka etc., robię wszystko, żeby uniknąć podobieństwa. Ludzie go wprawdzie szukają, i jest rzeczą istotnie charakterystyczną, że jak znajdują typ płaski i kłamliwy, to go natychmiast dostosowują — i widzą portret. Ja jako pisarz potrzebuję różnych typów, tak jak światel i cieniów — muszę więc tworzyć i ujemne. Jestem jednak przekonany, że gdybym stworzył inne ujemności, wyprowadził inne wady, inne płaskości duszy, mówionoby również o podobieństwie i na to ja już nie mogę poradzić. Mogę tylko nie stworzyć podobnej historii, nie dawać podobnych cech fizycznych — i tegobym nie zrobił — ale ze względu na mój zawód artystyczny i służbę, nie mogę się wyrzec tworzenia typów odmiennych.

6. *List do Heleny Krasieńskiej z dn. 28 października 1894 r.*

Nigdy nie czułem się tak zmęczony. Zajęło mi to 16 mies. pracy w warunkach tak nieodpowiednich, że gorszych trudnoby wymyślić! Nie chciałem się dać — ale przy dłuższych robotach zawsze tak bywa, że póki się pracuje, póty się idzie siłą pędu i nateżenia, a potem następuje reakcja. — Tak stało się i ze mną, a w dodatku po raz trzeci w życiu... Za jakie dwa tygodnie zabiorę się do „Quo Vadis”, ale muszę sobie dać przynajmniej takie wakacje, bo nadto jestem zmęczony. Swoją drogą rad jestem, że skończył Połanieckich, — naprzód książka wydana to jest społeczny czyn, powtóre włożyłem w tę powieść dużo ludzkiego życia, ludzkiego myślenia — stworzyłem tam dziesiątki figur, które żyją swoim własnym indywidualnym życiem. Jestem w tej chwili tak zmęczony pracą i influenżą, że myślę, iż nie potrafię napisać „Quo Vadis”. Pociesza mnie tylko to, że takie same wrażenia mam zawsze, przed każdą większą robotą.

7. *List do Heleny Krasieńskiej z dn. 30 listopada 1894 r.*

Pusto mi teraz bez Połanieckich, bom się z nimi zżył, a strach zabrać się do „Quo Vadis”. To taka znów ogromna i długa robota. Prolog ogłoszę jednak znacznie wcześniej, przed zaczęciem powieści, żeby się samemu powoli wciągać.

8. *List do Heleny Krasieńskiej z dn. 1 kwietnia 1896 r.*

Niech łaskawa Pani mi wierzy, że dałbym dużo za to, by móc spędzić z Państwem kilka tysięcy, kilkaset, lub nawet kilkanaście minut w Radziejowicach, nigdzie bowiem nie było mi tak dobrze i nigdzie nie czułem takiej szczerzej życzliwości, a wreszcie nigdzie nie znalazłem miłszych ludzi. Zawsze tam miło być, gdzie się znajduje prawdziwą przyjaźń i gdzie się ją przywozi.

Polski Związek Łowiacki
BIBLIOTEKA

Nr. _____

